Przyjaciel Ludu.

ROK ÓSMY. No. 33. Leszno, dnia 12. Lutego 1842.



Młócenie końmi.

Wyjątek z Dziennika podróży, odbytéj w roku 1839.

(Dalszy ciąg.)

Syra. Malta.

Nazajutrz zwiedziłem prawie wszystkie części miasta, które w ogóle piękném nazwać można, nadzwyczajnie ożywioném, tak, że w niektórych miejscach ciągły natłok. Ulice czyste, ciosowym kamieniem brukowane, domy także z kamienia o płaskich dachach, porządne, kilka pięknych placów. Między ludem dość zamożności obok okropnéj nędzy, widać, że wszystko na przemyśle zależy, a nie masz rodzimego bogactwa; sklepy liczne i dość bogate, mimo, że najwięcéj żyją z podróżnych; kościoły, których bardzo wiele, oprócz Śgo Jana, piękne, ale nic nadzwyczajnego w sobie nie mieszczą. Pałac rządowy, dawniéj wielkich mistrzów, już powierzchownie poważny i obszerny i piękny; sale dwie, ozdobne, bogate w obrazy dawniejszych i teraźniejszych malarzy maltańskich, którzy jednak nie mają odrębnego charakteru, tylko mniéj więcéj do różnych szkół włoskich policzonymi być muszą; mnóstwo także portretów historycznych, z wszystkich epok, ale znów przed wszystkiemi odznacza się obraz Cararagia, wyobrażający Judytę z głową Holofernesa, uderzający śmiałością pomysłu jak i wykonaniem, tak, że zapomina się o zbrodni, widząc fanatyzm wiary. W sali broni wojska angielskiego, wiszą całkowite zbroje czterystu-pięćdziesięciu Kawalerów maltańskich, zbroje mistrzów La Valette i Vaucourt złocone damasceńskie, mnóstwo zbroi, broni ludów wschodnich, zdobytych przez zakon. Jedną z ciekawości jest armata z liny konopianéj, jakimś cementem złączonéj szczelnie, wewnętrznie wyłożona cienką blachą spiżową, tak lekka, że ją łatwo podnieść można. — Nad wieczorem mieliśmy nadzwyczajnie piękny widok odpływającéj eskadry angielskiéj na wschód, przy licznych armatnich strzałach; po długiém przypatrywaniu się rozmaitym ruchom wojennym okrętowym, gdy się już eskadra oddaliła, pobiegłem na wieże pałacu rządowego, by ją jeszcze gonić okiem na morzu, uchodzącą bardzo spiesznie z pomyślnym wiatrem. Widok z téj wieży czarujący, najprzód na morze bez granic, na którém gdzie- niegdzie bielący się okręt; jak we mgle, góry Sycylii, wyspę całą można przejrzeć, i morze naokoł niéj. Dla samego widoku miasta, koniecznem jest zwiedzenie téj

wieży, widzi się na raz wszystkie zarysy portów, miasto zaś obszerne, zdaje się, jakby kute w skale, bo dachy płaskie czyli sklepienia z kamienia, a ulice i place nadzwyczaj regularne. Na téj wieży jest obserwatoryum portowe; mieszka na niéj stary Maltańczyk, który nadzwyczaj daleko gołém okiem spostrzega okręty, a za pomocą lunetty poznaje po formach architektonicznych, z jakiego kraju, i w ten sposób, kilka, czasem kilkanaście godzin przed przyjściem, melduje właściwéj władzy o zbliżającym się okręcie. Wieczór zeszedł na miejscu przechadzki, w miłém towarzystwie, przy miłym *dolce farniente* południowym. Pan Dussumier poznał mnie z Konsulem francuzkim w Malcie, panem Fabrequette, człowiekiem pod wszelkimi względami nader wykształconym i miłym. Widziałem u niego bardzo interessowny zbiór autografów wszystkich znaczących ludzi naszego wieku we Francyi, tak w litteraturze jak polityce, a sądząc po piśmie Thiersa, Victora Hugo, Berangera, Periego, można przyznać słuszność przysłowiu, że wielkich czyli prędzéj uczonych i pracowitych trzeba ludzi, żeby pismo wielkich ludzi wyczytać. Przez pana Fabrequette dopiero mógłem bardziéj wniknąć w stan społeczny i polityczny wyspy i stolicy, z którą mnie dokładniéj zapoznał, za co mu dziś jeszcze dzięki składam. Zwiedziwszy wszystkie ciekawości miasta, wyjechałem obejrzeć wyspę fiakrem maltańskim, czyli lektyką na dwóch kołach, na dwie osoby, którą ciągnie lichy konik lub muł, woźnica zaś, biegnie przy nim pieszo. Z miasta do wyspy prowadzi tylko jedno wyjście, przez sześć rzędów fortyfikacyi, i sześć bram, z których niektóre długie tunnelle, kute w skale. Za temi bramami piękny ogród publiczny, z samych drzew krajów południowych, nad któremi zwykle jak korony wznoszą się palmy: ogród ten jednak wcale nie jest uczęszczany, bo w Malcie jak we Włoszech, tylko wieczorem się przechadzają, a ztąd niepotrzebując cieniu, wolą połykać kurz ulic i placów, byleby tylko gwarnie i tłumnie wieczór spędzić. Drogi po wyspie są zwykle kute na kilka cali w skale; że zaś ta jest bardzo miękka, mimo że ruch na kołach jest mały, jednakże co kilka lat wyżłobią się koleje, które ubitym kamieniem zasypują. Udałem się główną drogą, do największego miasta po stolicy, do Cittavechia; kraju po drodze mało można widzieć, tylko same mury, otaczające małe polka, zraszane sztucznie prowadzoną wodą kamiennemi rynnami. Co chwila napotyka się domy wieśniaków o piętrze, z kamienia, z wielkim kwadratowym balkonem. Wszystkie te polka były kiedyś nagą skałą, musieli ją dopiero nawieść ziemią z Sycylii. Główną produkcyą stanowią: pomarańcze, bawełna, indygo, ryż, kukurydza i nieco jęczmienia; młócą końmi lub bydłem. Konie ich z małéj rassy arabskiéj, lekko i żywo noszą, ale ich w ogóle mało trzymają, również i bydła, małego czerwonego, afrykańskiego pochodzenia. Zwierzętami domowemi są prawdziwie osły i muły do pracy i jeżdżenia, a kozy do wyżywienia; tych ostatnich wszędzie pełno; robotnik pracujący w polu, co chwila położy się pod którą z nich, i dojąc ustami, posili się i ugasi pragnienie. Chcąc obejrzeć Maltę jednym rzutem, trzebaby być chyba ptakiem, w ten czas zapewnie wydałaby się jak skorupa żołwia lub nosorożca, którego łeb, stolica, piętrząca się wieżą Śgo Jana, mogłaby wyobrażić. Cittavechia dość rozległe miasto, zupełnie umarłe, mimo pięknych budowli, ledwie gdzie niegdzie trochę ruchu; widać, że całe życie przeniosło się do stolicy.

(Dokończenie nastąpi.)

Korosteszów.

W dawném województwie kijowskiém, (którego stolicą został Zytomierz po odpadnięciu Kijowa przez traktat Grzymułtowskiego), na skalistém wybrzeżu rzeki Teterowa, rozłożone jest miasteczko Korosteszów, dawne dziedzictwo Filona Kmity Czarnobylskiego, a przezeń od lat około 300 weszłe w dom Olizarów i dotąd jeszcze do jednego z jego członków, Hrabiego Gustawa Olizara, należące. Śród obszernych, jak widać, dawniéj lasów osadzona ta posada, świetniejszą mieć mogła historyczną przeszłość. Jakoż lubo żadnych pomników nie pozostało po najpierwszych osadnikach téj okolicy, tradycyjne jednak miana niektórych wiosek w bliskości Korosteszowa będących, jakoto: Mininy, Minijki, Horodzk, Horodyszcze, i kilka zamczysk, na wyniosłym lewym brzegu Teterowa usypanych, każą wnioskować, że Korosteszów był niegdyś stolicą szczepu Sławian, Minczanami zwanych; graniczących lasami z osadą Drewlan; zawojowanych przez Olgę, a których stolicą była Iskorość. O tém i Karamzyn w swojéj historyi namienia. Późniejsze koleje tego grodu były równie smutne, jak całego kraju, niedbale wystawionego na najazdy Tatarów; i Siczy. Kilka razy palony i niszczony Korosteszów, obrany wreszcie został przez rząd Rzeczypospolitéj na miejsce stałéj konsystencyi Regestrowych Kozaków, których sławniejszymi pułkownikami byli: Chwilneńko, Fedko, Łukaszewicz i Zarudni. Dzisiejsza postać tego miasta jest dosyć wdzięczną i malowniczą dla oka; skalisty brzeg rzeki, murowany katolicki kościół, dwie cerkwie ruskie, rezydencya dziedzica, choć szczupła, ale z wieżyczką i powiewającą nad nią herbowną flagą, kolumnada stojąca jeszcze na gruzach dawnego pałacu i holenderski młyn wietrzny; wszystkie te budowy po wyniosłych wzgórzach porozrzucane, piękny tworzą krajowidz, zwłaszcza od wschodu ze strony kijowskiéj. Tłem zaś całego obrazu są

obszerne sosnowe lasy, w amfiteatr po prawym brzegu rzeki rosnące, i dochodzą pod Brusiłowem do stepowéj już Ukrainy. Pod względem więc statystycznym, Korosteszów w każdym kraju, gdzie rządowa opieka i nad dobrem prywatném czuwa, byłby punktem najszczęśliwiéj położonym do znakomitego handlu! Jakoż i teraz przy wszystkich zawadach, jakich niebłogość ogólna i upadek wewnętrznego przemysłu dostarcza, przy zupełném zaniedbaniu rzeki, mogącéj być spławną nader małym kosztem, wielkie jednakże przemiany towarów stepowych z leśnemi odbywają się w tém miasteczku na kilku walnych rocznych jarmarkach. Gdy celem naszym jest opisanie rzeczy teraz istniejących, nie zaś wybadawanie przeszłości lub zgadywanie przyszłych losów tego miasta, zdamy sprawę z tego, cośmy ciekawém oglądali okiem w majątku i domu mieszkalném Hrabiego Gustawa Olizara, a spodziewamy się i czytelnikom sprawić przyjemność, bo to są rzeczy swoje, rodzinne, krajowe! Korosteszów od strony Żytomierza jest otoczony obszerną płaszczyzną, w step zamienioną, przez wytrzebienie lasów, przed kilkunastą laty dość jeszcze znacznych. Ziemia w ogólności mniéj żyzna, aleśmy to już dostrzegli w prowadzeniu naukowego gospodarstwa, i na płodozmianach łany pszeniczne, dobroczynną kartoflę i kwiecistą koniczynę widzieliśmy. — Z niemniejszą pociechą ujrzeliśmy dbałość o utrzymanie i zwiększenie krajowego kapitału, jakim są lasy wszędzie u nas, a zwłaszcza w téj okolicy Polesiem zwanéj, niszczone przez nieumiejętne około nich staranie. Pożary bezładne, wycinanie i nadczasowe konserwy, jednakowo przyczyniają się do wyniszczenia lasów; w téj zaś majętności widzieliśmy już porządnie wycięte i zasiane sekcye, sto kilkadziesiąt tysięcy wysadzonych flanców sosnowych, których równy i piękny porost obiecuje przyszły las masztowy wnukom dzisiejszego posiadacza, jeżli łaskawe nieba prawym spadkobiercom trudy i zabiegi przodków zostawić raczą. Chociaż Korosteszów, jakieśmy powiedzieli, od lat 300 do familii Olizarów należy, nie był on jednak rezydencyonalném miejscem panów swoich. Ztąd żadnego śladu starożytnéj budowy domu lub zamku, a pierwszy, który tu zamieszkał, ojciec teraźniejszego dziedzica, Filip Olizar, Podczaszy w. ks. lit. i Marszałek trybunału koronnego, dostawszy tę część majątku w spadku po swoim bracie stryjecznym, JW. Stolniku koronnym Olizarze, dla nagłych zmian politycznych, jakie się dla kraju naszego gotowały, nie miał odwagi i chęci w kosztowne wdawać się budowle. Jakoż po rozbiorze kraju, majątek ten przez wojsko splondrowany i zniszczony, uległ był konfiskacie, od któréj go jednak oswobodziła jeszcze cesarzowa Katarzyna II. Przez to równie tłómaczy się, dla czego w nieokazałém dzisiejszém pomieszkaniu właściciela téj ziemi znajdują się jednakże sprzęty i ruchomości dosyć ciekawe; bo szczątki starego domu, nim się zupełnie rozproszą, przyrównać można do tych sosien lub dębów stuletnich, które zdają się tyle potrzebować czasu do zupełnego zamarcia, ile użyły go do wzrostu. Między rzeczami godnemi uwagi w domu korosteszowskim, znajdują się: 1) Biblioteczka z kilku tysięcy tomów złożona, w któréj do bibliomańskiéj ciekawości należy, edycya Wirgiliusza z roku 1476.; h y m n y m o j e d o m o w e (wiersze w żadnéj bibliografii nie wspomniane), tudzież nieznany a ciekawy manuskrypt z 1020 wierszy złożony, o potyczce olkienieckiéj. 2) W Archiwum familijném, oprócz przywilejów królewskich, są autografy: F i l o n a K m i t y, O s t a f i a D a s z k i e w i c z a, (obu spokrewnionych z tym domem), tudzież list kondolencyjny ojca Króla Sobieskiego do pani Eufrozyny z Zamojskich Olizarowéj, i znaczna ilość listów prywatnych Stanisława Augusta do Starosty Łojowskiego, Stolnika Koronnego i Podczaszego litewskiego Olizarów, z wielką uprzejmością pisanych. Zbiór malowideł, w których są eksemplarze sztuki wielkich włoskich mistrzów; tudzież wiele krajowych pamiątek. Do rzędu pierwszych należą: *a.* Oryginał M a c r i n a d' A l b a z 1518 roku, wystawiający zaręczyny Śtéj Katarzyny. *b.* Głowa Śgo Piotra płaczącego, stylu D o m i n i c h i n a. *c.* Dwa pejsaże dość rzadkie, temuż mistrzowi przypisywane. *d.* P o r t r e t Księcia tatarskiego K a n t e m i n a, na drzewie malowany, stylu V a n - D i c k a i szkoły flamandzkiéj; p o r t r e t jakiegoś rycerza zbrojnego, pod nazwą: D o n J u a n d' A u t r i c h e i t. d. Do rzędu drugich: *a.* Galerya portretów Królów polskich od Chrobrego do Stanisława Augusta. *b.* Kollekcya dość kompletna Hetmanów wielkich, w których miło napotykać rysy znane Z ó ł k i e w s k i c h, C h o d k i e w i c z ó w, C z a r n i e c k i c h, O s t r o g s k i c h, W i s z n i o w i e c k i c h, L u b o m i r s k i c h i t. d., aż do pana Krakowskiego, Branickiego z B i a ł e g o - S t o k a. *c.* Cała familia S t a n i s ł a w a A u g u s t a, zacząwszy od ojca Króla, do Księcia Józefa, w dziwnym lecz rzadkim stroju malowanego, bo w kirysie g w a r d y j M i r o w s k i c h; tudzież portrety kilku dawniejszych Kardynałów polskich, Senatorów, wojowników, uczonych. Trzy obrazy pendzla Smuglewicza, może największe, jakie ten mistrz krajowy dla domu prywatnego wykonał. Pierwszy i najlepszy: P a n J e z u s n a k r z y ż u, naturalnéj wielkości, zdobi wielki ołtarz parafialnego kościoła. Drugi wystawia akt rozgraniczenia Litwy z księstwem mazowieckiém 1358 r. przez Komissarzy ze strony mazowieckiéj: M r o c z k a, R a c i ą ż k i e g o, N i e m i r ę S o c h a c z e w s k i e g o, W y k o s z ę C z e r s k i e g o, Kasztelanów; a ze strony w. ks. litewskiego: Książąt: P e t r y k i i W o j s z w i ł a, a przez panów Aikszy Olizara i Wośka Kierdejowicza dopełniony. Trzeci (którego tu przyłączamy rycinę), wyobraża sessyę



Skic obrazu Smuglewicza, wystawiący Trybunał lubelski pod laską JW. K. Olizara, Stolnika koronnego, podczas przejazdu Króla; oryg. w Korosteszowie malowany na płótnie. Wys. łok. $5\frac{1}{2}$. Dług. łokci 7.

trybunału lubelskiego pod laską Stolnika koronnego Olizara, w przytomności Stanisława Augusta, przybyłego w tę porę do Lublina. Wielkość tego obrazu jest 7 łokci szerokości, a 6 łokci wysokości; szczególniejsza zaleta tego obrazu jest ta: że osoby, całą grupę składające, są portretami żyjących w on czas dygnitarzy obywateli. Nie zdjęcie ówczesne skicu, dla zanumerowania figur i spisania imion sprawiło, że dziś kilkanaście ledwo osób, pamięcią starego burgrabiego domu obiętych, jest w naszéj rycinie pomianowanych (*).

(*) 1. Stanisław August, Król. 2. Ks. Jabłonowski, Kasztelan krakowski. 3. Kajetan Olizar, Stolnik koronny. Marsz. Trybun. 4. Ks. Przerębski, Prezydent Trybunału. 5. Generał Byszewski. 6. Wojewoda Stempkowski. 7. Generał-Adjutant Komarzewski. 8. Generał-Adjutant Mokronowski. 9. Worcell, Kuchmistrz koronny. 10. Bniński, Kasztelan. 11. Józef Olizar, Szamb. J. K. M., Poseł Woł. 12. Filip Olizar, Pod-

Zarys tego pisma nie pozwala nam wchodzić w dalszy opis Korosteszowa i jego okolic, w tym względzie odeślemy czytelników do 34 i 52 numerów Tygodnika petersburskiego z roku 1839., w których jakiś podróżujący daje nam to opisanie pod tytułem: Szwajcaryi polskiéj.

Akt rozgraniczenia w Grodnie między w. ks. litewskiém a królestwem polskiém z strony powiatu grudzińskiego do w. ks. litewskiego, a ziemią wiską i goniacką, do Mazowsza należącemi, które Kommissarze ze strony w. ks. litewskiego, Książęta Petryka i Wojszwiłła, panowie Ayksza Olizar i Wasko Mierdejowicz ze strony księstwa mazowieckiego, Wykosza Czerski, Mroczko Raciązki, Niemira Sochaczewski, Kasztelanowie, zawarli, wyznaczając granice takowe najprzód i najszczególniéj, zaczynając od kamiennego Brodu pospolicie zwanego, prosto do Rajgroda, a od Rajgroda prosto idąc przez rzekę Mety, a od Mety prosto idąc przez rzekę Bebrzą, a od Bebrzy prosto do Targowiska, a od Targowiska prosto idąc do ujścia wielkiéj Strugli, a idąc przez tę rzekę aż do wierzchołka strumienia czyli rzeki małéj Suchołdy zwanéj, i wierzchołkiem téjże małéj Suchołdy na dół idąc przez samę rzekę, prosto, aż do rzeki czyli strumienia Sprarsla; idąc na dół przez też rzekę prosto aż do Sopelawe, siedliska, a od Sopelawe siedliska prosto do Nowothińczańszcza, gdzie się kończą ściany państwa wielkiego księstwa litewskiego i księstwa mazowieckiego.

Działo się w Grodnie, dnia 3. Lipca R. P. 1358.

Bardowie polscy.

(Dalszy ciąg.)

Było w Polsce obyczajem, że na każdéj uroczystości, zawsze święconéj hojnym wylewem Węgrzyna, możny gospodarz musiał się koniecznie opatrzyć przyjaciołmi dwóch rodzajów. Jedni z nich opowiadacze jowialni, rozrywali i zajmowali na przemian umysł, drudzy do szermów umysłowych częstokroć niezdatni, ale głów wytrwałych, ażeby przykładem zachęcać do kielicha. I w jednym i w drugim zawodzie rozwijały się nadzwyczajne zdolności. W przytomności księcia Lubomirskiego, Podstolego koronnego, i w jego piwnicy, Swiejkowski, stolnik wołyński, z Pękosławskim, starostą kamieńczykowskim, we dwóch wypili całą beczkę wina węgierskiego, a to tym sposobem, że jeden z nich podstawiał kielich przy lufcie odetkniętym, podczas gdy drugi swój wychylał; ten go wypróżniwszy, luzował pierwszego, który to samo robił. Tak nigdy czopem nie zatykając beczki, nakoniec ją wysuszyli. Konarzewski, który był protegowany przez księcia Stanisława Poniatowskiego, gdy jednego rana przyszedł do dostojnego mecenasa, zastał go w kąpieli. Ten mu powiada: *Mój Konarzesiu, oto w pierwszym pokoju stoi kosz z winem szampańskiém, co mi go dopiero przysłał Teper. To wino u nas nowalią, pójdź skosztuj go i przyidź mi powiedzieć, czy naszéj szlachcie będzie do smaku.* Konarzewski wyszedł; po upłynionéj nie spełna godzinie wrócił do księcia, który spoczywał po kąpieli, i powiedział mu, że wino choć lekkie, ale smaczne, i to odpowiedziawszy, zostawił księcia. Pokazało się późniéj, że sam jeden wszystkie dwanaście butelek wypróżnił co do kropli.— W Żytomierzu, w czasie jednego sejmiku, Proskura, Cześnik kijowski, animował do kielicha towarzystwo, zebrane u Pauszy, Sędziego ziemskiego. Wtém gdy przynieśli wieczerzę, przypomniawszy sobie, że mu trzeba pójść w interessie umówionym, powiada: *Wybaczcie państwo, że nie mam czasu pieścić się kieliszkiem, wolę od razu zabawę kończyć*, a porwawszy wazę i krupnik, przez okno wylawszy, napełnił ją winem, i wszystkich zakląwszy pod cztérma literami, że za nim wypiją, wylał ją w gardło, a napełniwszy powtórnie winem, i oddawszy ją temu, w czyje ręce wypił, wyszedł nieoglądając się za sobą. Ze wszyscy byli wielce skrupulatni, jeden za drugim wazę wypróżnili; wszyscy potém leżeli bez przytomności, jakby na jakiém pobojowisku; nawet jeden z nich umarł, a nasz Cześnik o swojéj sile poszedłszy, miał jeszcze szczególny przypadek; przechodząc albowiem koło klasztoru bernardyńskiego, obaczył, że u węgła stoi szlachcic z szablą w ręku, broniący się przeciw sześciu na niego nacierających. Jak mógł zasłaniał się, ale widzi Proskura, że choć tęgi rębacz, tak przemagająca siła nakoniec go zmoże. Chociaż dobrze pijany, ale przytomny, dobywa swojéj szabli, i leci mu na odsiecz. Tak niespodziewany posiłek, odmienia przyrodę bitwy, szlachcic dopiero odporny, przy takim poplecznikú zostaje zaczepnym. Napastnicy nie mogąc się oprzeć połączonéj sile dwóch rębaczów tak dzielnych, uciekają z placu, każdy oberwawszy po kilka bolesnych pamiątek. Gdy oswobodzony szlachcic wynurzając mu wdzięczność, mówi: *Niech wiem przynajmniéj, komu winienem ocalenie mojego zdrowia; jakie nazwisko pańskie?* Cześnik na to: *A tobie durniu co do tego. — Sameś nim! kiedy tak*; odpowiedział szlachcic, i natychmiast z sobą bić się zaczęli, i tak się pokaleczyli, że oba leżeli krwią zbroczeni, już nie mając sił do bicia się, ale łając siebie wzajemnie, aż przyszli słudzy pana Giżyckiego, Chorążego kijowskiego, i zanieśli ich obudwóch do bliskiéj kwatery swojego pana,

czaszy W. X. L. 13. Hryniewiecki, Wojew. lubelski. 14. X. Naruszewicz, Kanonik. 15. K. Bóbr, Generał. 16. Podhorodeński, S. lubelski. 17. Mecenas lubelski, Koźmian. 18. * * * Paż królewski. 19. 20. 21. Służba dworska J. K. M.

gdzie doktor, przez gospodarza sprowadzony, opatrzył im rany. Cóż powiedzieć o sławnym Kierekieszy, domowniku Głembockiego, Stolnika owruckiego, który przez niego trząsł sejmikami żytomirskiemi. Kierekiesza nie umiał mówić czysto po polsku, ale zawsze po rusku, i tym językiem sypał perory szlachcie okolicznéj owruckiéj, któréj był wyrocznią, nie tyle dla swojéj wymowy, ile dla szczególnéj zdatności, kolejnym kielichem pić gorzałkę, co się jéj wleje, bez stracenia przytomności. Razu jednego zrobił zakład, że wypije wiadro wódki, a potém wlezie na dach po drabinie, i wygrał zakład w przytomności JW. Stępkowskiego, Wojewody kijowskiego, i kilkudziesiąt obywateli na to widowisko zebranych.

Ale jeżeli te popisy pijackie sprawiały silne wrażenie na umysłach przytomnych obywateli, jeszcze silniejsze było zniewolenie umysłów przez zawołanych opowiadaczów. Magnat chcący działać skutecznie na zjazdach szlacheckich, musiał koniecznie opatrzyć się w popleczniki jednego i drugiego rodzaju. Co jedni kielichem, drudzy wymową dokazywali. Luboć nie rzadko się zdarzało, że trefny opowiadacz, bywał razem i zawołanym pijakiem, i tęgim rębaczem. Magnaci więc zawsze na dworach swoich liczyli podobne figury. Gdy podania coraz więcéj się zasypują, umyśliłem niektóre nazwiska, które do mnie doszły, zachować, nie zapominając i o tych, co ich znałem osobiście.

Marcin Polanowski, herbu Pobog, najmłodszy ze czterech synów dziedzica trzech wsi w okolicach Kołomyi, gdzie był urzędnikiem, urodził się w województwie ruskiém, przy początku XVIII wieku. Najstarszy z jego braci uczynił professyą w zakonie jezuickim, drugi się wypromowował w palestrze, trzeci przyszedł z czasem do posiadania całkowitéj ojcowizny, którą odkazał licznemu potomstwu. A Marcin kończąc retorykę w konwikcie jarosławskim, gdy tam ze swawoli dopuścił się jakiéjś psoty, za którą spodziewał się być porządnie wychłostanym, uciekł ze szkół, i przystał na pisarczyka do jakiegoś szypra. Puściwszy się z nim Wisłą do Gdańska, wpadł tam w ręce ukrywających się werbowników pruskich, a ci go wywieźli z Gdańska w nocy, z kneblem w gębie, a potém wyprawili go do jakiegoś pułku huzarskiego, gdzie musiał służyć za szeregowego. Ale po dwóch leciech służby, kiedy już był sobie zjednał łaskę u swojego rotmistrza, stojąc gdzieś nad Renem, uciekł z koniem i moderunkiem, wpław rzekę przebywszy; dostał się potém do jakiegoś księstwa, gdzie panujący sztyftował pułk jazdy dla króla francuzkiego, i nie wiem jakim sposobem otrzymał w nim stopień oficera. Po rozmaitych wojennych kolejach, dostawszy się pod dowództwo marszałka Lowendala, lubiącego Polaków, a nawet żonatego z Polką, z Szembeków domu, zwrócił jego uwagę ku sobie. Przy dobyciu Bergopzomu dostał strzał, który mu tak twarz przekręcił, że nie można było patrzać na niego bez śmiechu. Marszałek, za pomocą ustnego zalecenia królowéj Maryi z Leszczyńskich ministrowi wojny, wyrobił mu uwolnienie ze służby, z krzyżykiem Śgo Ludwika, rangą kapitańską i tysiącem franków rocznéj pensyi do końca życia. Przepędziwszy lat szesnaście w służbie francuzkiéj, a pomimo tego nie nauczywszy się po francuzku, wrócił do kraju swego, z listem zalecalnym marszałkowéj de Lowendal do Wacława Rzewuskiego, wówczas Wojewody podolskiego, za którego bratem Sewerynem była wprzód zamężną; a lubo z nim się była rozwiodła, nigdy nie przestała zachowywać z Wacławem stósunków przyjaźni i wdzięczności. Polanowski wróciwszy do kraju, a ułożywszy się z bratem o część ojcowizny, na niego przypadającéj, za jakąś niewielką kwotę gotowych pieniędzy; został domownikiem Wacława, który w kilka lat potém otrzymawszy mniejszą buławę, zrobił go swoim adjutantem z rangą pułkownika. I kiedy późniéj wysłał swoich synów za granicę, dodał im Polanowskiego na mentora. Dowcip, co go okazywał w opowiadaniach swoich, i jego dykteryjki, były tak głośne, że najpierwsi magnaci, a szczególnie Książę wojewoda ruski, wielkiemi nadziejami chcieli go przyciągnąć do swego domownictwa, ale on szczerze przywiązawszy się do Hetmana, nigdy go odstąpić nie chciał. I lubo pan ten był obejścia się aż do surowości poważnego, i nie był łatwo przystępnym do rozmów żartobliwych, jeden Polanowski miał przywiléj, iż rozweselał go swémi konceptami, często do niepohamowanego śmiechu pobudzając. Od niego albowiem wyszły piérwszy raz, te późniéj powszechnie kursujące powiastki, o tym Bernardynie pijaku, który wokowany do Augusta II., czy się nie podejmie jednym tchem wypróżnić świeżo nabyty kielich półtoragarncowy, pierwéj poszedł do królewskiego kredensu z kielichem; tam dla doświadczenia swojéj siły, wypróżniwszy go *semotis arbitris*, dopiéro zaraz potém napełniwszy go po raz drugi, popisał się przed królem i dworem. O tym Trepce, także głośnym opoju, który podjąwszy się w domu Warszyckiego, Kasztelana łęczyckiego, wypróżnić, nie odrywając od ust, ogromnéj wielkości, bogaty srébrny puhar, mający być nagrodą téj nadzwyczajnéj zdolności pijackiéj; gdy piwniczy chcący ocalić puhar swojego pana, szpagatem mysz w nim przywiązał, Trepka wychylając puhar, odkąsił szpagat, mysz połknął, i zabrał puhar próżny, mówiąc piwnicznemu: *A Wać kiedy tak dobre wino masz w dozorze, pilnuj, żeby muchy do niego nie padały;* i mnóstwo innych w tym rodzaju. Razu jednego będąc w Chełmie na sejmiku, gdzie utrzymali na poselstwie Seweryna Rzewuskiego, syna Wacława, wówczas starostę dolińskiego,

kiedy szlachta oburzona na Polanowskiego, że zaniechawszy kontusza, wszędzie się pokazywał w mundurze francuzkiego kroju, z zagranicznym, jak ona nazywała, farmazońskim krzyżem, zabierała się go rozsiekać; on nie tracąc przytomności, powiedział im: *Posłuchajcie w przód, co wam powiem na wytłumaczenie siebie, a potém rąbajcie mnie jak dęba*; i jak zaczął przed szlachtą sypać improwizowane gadki, tak ją udobruchał, że jak w Kalabryi Ariosta, zaczęła go podnaszać na rękach, krzycząc: *Niech żyje Polanowski!* I wpadł w nowy kłopot, bo go chciano koniecznie ogłosić kolegą starosty dolińskiego w poselstwie, kiedy już ta posada była umówiona dla Golejowskiego, jak i on dworzanina hetmańskiego, a z którym miał powinowactwo i przyjaźń, że zaledwo ten nagle zrodzony affekt mógł od siebie odwrócić. Później obrzydziwszy świat, który nie mało natuptał, osiadł na dewocyi w klasztorze Kapucynów w Olesku, gdzie całą jego rozrywką, po odbyciu wszystkich nabożeństw, było zajęcie się ogrodem klasztoru, tak dalece, że razu jednego całą roczną pensyę z Francyi sprowadził cebulkami, gdyż do śmierci ją pobierał, zawsze ozdabiając czerwoną wstążeczką sierakową kapotę, w której zwykł chodzić. I umarł w tym klasztorze w wieku bardzo podeszłym, nigdy z niego o krok nie wychodząc aż do śmierci, ale uprzejmie w nim przyjmując każdego, co go nawiedzał.

Leon Borowski, herbu Lubicz, Komornik słonimski, nieodstępny towarzysz księcia Karola Radziwiłła, tak w konfederacyach, jako i w życiu prywatném, a jego klient ulubiony, był nadzwyczajnie miły i dowcipny w opowiadaniach swoich; książę mawiał: *Panie kochanku, jak nie ma pana Leona, ja rozumu nie mam.* I w saméj rzeczy nic więcéj zajmującego, nad jego sprzeczki z księciem, co jeden zacznie, to drugi kończy. Roje konceptów, przymówek, odcinek, wylatywały z tych głów, a co dziwniejsza, że ciągle szermując z sobą, nigdy się nie powtarzali. Żeby dać wyobrażenie o dowcipie Borowskiego, wspomnę o jednéj jego bajeczce, którą zreflektował zgromadzoną szlachtę na sejmiku poselskim w Słonimie. Było to w czasie konfederacyi radomskiéj. Na tym sejmiku po obiorze posłów, gdy przyszło do ułożenia instrukcyi dla nich, Hieronim Połubiński, zawołany rębacz, i zagorzały stronnik księcia Karola, poburzał szlachtę w zapale nieumiarkowanym, nierozważnym wnioskiem, ażeby w téj instrukcyi zalecić posłom, aby na sejmie nie dopuszczali traktować żadnéj materyi, pókąd wszystkie dobra książąt Czartoryskich nie będą oddane księciu Karolowi, na satysfakcyę szkód przez niego poniesionych od ich partyi. Szlachta za Połubińskim zaczęła wrzeszczeć, że kto temu przeciwny, nie jest przyjacielem ani księcia Karola, ani dobréj sprawy. Ale Leon Borowski, o którym wszyscy wiedzieli, że był Radziwiłłowskim z duszą i z ciałem, uważając, iż takowy wniosek przyjęty, odnowiłby wojnę domową, i mógł narazić księcia na nowe tułactwa, tak się odezwał: „W tym wniosku pana Hie„ronima, widzę dowód niepospolitéj przyjaźni „dla księcia Wojewody wileńskiego, w jego za„tém imieniu publiczne składam dzięki i jemu, „i zacnym braciom, którzy jego wniesienie po„pierają. Ale nie zawsze przyjaźń jest korzy„stną dla tego, co jéj odbiera dowody. I aby „was o tém przekonać, powiem wam, co się „kiedyś zdarzyło w okolicach Żachwy. Jeden „węglarz napotkał młodego niedźwiedzia tak „okaleczonego, że ledwo dychał; zlitował się „nad nim, opatrzył mu rany, przynosił mu „strawę, aż niedźwiedź wylizawszy siebie z ran, „przyszedł do zdrowia. Ztąd wielka przyjaźń „między nimi. Żadnéj okoliczności niedźwiedź „nie opuszczał, by się nie wywiązał węglarzo„wi. Razu jednego widząc go śpiącym, a uwa„żając, że komor go kąsa w skroń, ujmując się „za przyjaciela, jak palnie łapą po komorze, „zabił go, ale z nim razem i węglarza. Oj „bracia moi, żebyście podobnéj przysługi na„szemu księciu czasem nie zrobili!“ I tém szlachtę pobudziwszy do śmiechu, sprawił, iż ona przestała popierać wniosek Połubińskiego. Leon Borowski, pomimo dowcipu przyrodzonego, był człowiekiem uczonym, dużo oczytanym, łacinnikiem i prawnikiem wielkim. Zaszczycony szczególną poufałością księcia, nie tylko go bawił rozmową i kielichem, ale był mu wielce pożyteczny, nawet w publicznych sprawach. Nigdy nie pochlebiał księciu, zawsze prawdę mu w żywe oczy przedstawiał, a często tak uszczypliwie, że nieraz podziwiano cierpliwość księcia. Borowski każdemu dokuczył językiem, bo był wielkim drwiarzem, ale uczynkami wszystkim był pomocny. Ta dobroć jego serca robiła, że przyjaciele przebaczali jego słownym wybrykom, bo każdy wiedział z doświadczenia, że czy kto miał prawny interes, czy chciał siebie lub dziecko swoje wyswatać, czy nabycie jakie uskutecznić, czy nakoniec potrzebował wstawienia się za sobą do księcia, zawsze mógł liczyć na Borowskiego. Ztąd, chociaż nikogo nie oszczędzając, plótł co tylko mu ślina do gęby przyniosła; w narodzie burzliwym, był z małéj liczby takich, co nigdy pojedynku nie mieli. Jednak raz został wyzwany przez Wazgirda, jednego z najzaciętszych Bard bandy albeńskiéj, a to z powodu, że namówił przychodniego kuglarza, który sztuki swoje pokazywał przed księciem, że kłódką zamknął gębę Wazgirdowi. Książę musiał pod konwojem dostawić kuglarza do Wilna, bojąc się, żeby go Wazgird na drodze nie zabił, ale ten obrócił złość na Borowskiego. I kiedy oba z sekundantami zajechali na noc do karczmy, przy któréj nazajutrz z rana bić się mieli, gdy wszyscy w jednéj izbie razem poko-

tem leżeli; Leon Borowski wiedząc, że Wazgird był jeszcze więcéj zabobonny niż śmiały, kupił u Żyda koguta czarnego, i gdy wszyscy się pokładli, on wstał, świéczkę zapalił, zarznął koguta, i jego krwią zaczął zaprawiać szablę swoję, wymawiając jakieś dziwaczne słowa. Co uważając Wazgird, tak się zmieszał, że w przekonaniu, iż inkluzę przyczepił do szabli, nazajutrz, po długich sporach, żeby koniecznie Borowski innéj szabli użył, a nie swojéj, w czém się nie dał przekonać Borowski, oświadczając, że każdy swoim własnym orężem winien się potykać, na co się godzili nawet sekundanci Wazgirda: ten, co wieczorem tak okazywał się twardym, z rana sam szukał zgody, przyznając się, że z biésem wojować nie myśli. Leon Borowski znał dobrze, że książę niczegoby mu nie odmówił, ale że był bezinteressownym, prócz dożywocia, co mu kilkanaście tysięcy przynosiło rocznego dochodu, innéj korzyści nie miał z przyjaźni księcia. Bywał on deputatem na trybunale litewskim, później był kommissarzem cywilnowojskowym, w roku 1794 był czynnym, i w lat kilka po zaborze umarł, nie mając spełna lat sześciudziesiąt.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dyaryusz oblężenia i attaku fortecy Jasnogórskiéj przez półkownika Drewicza, od 1. Stycz. 1771. do 15. Stycz., przez Zakonnika, świadka naocznego.

Umieściliśmy już wprawdzie w numerach dawniejszych pisma naszego obszerną relacyą oblężenia Częstochowy; wszakże, gdy wielostronne opowiadanie rzeczy jednéj, tém bardziéj ją wyjaśnia, sądzimy, że niniejszy Dyaryusz oblężenia téj twierdzy, zajmie nie bez owocu dla czytelnika kolumny Przyjaciela Ludu.

„JP. Drewicz, komendant moskiewski, z komendantami od JM. Panów Czartoryskich, Rennna, Galiczyna, Szachowskiego, Suwarowa, komendami i z Warszawy armatami i amunicyą wsparty, podstępował z wojskiem swojém pod fortecę, zawsze odpędzany z utratą wielu ludzi, osobliwie w drugim razie z utratą dwóch armat przez rozpuknienie się, z znaczną szkodą swoich, tak gemejnów jak starszyzny. Nakoniec tego miesiąca, w wigilią Nowego roku, zmówiwszy się komendami i przybrawszy sobie amunicyi ze Szląska, inżynierów, artylerzystów, armat, moździerzy, bomb, kul, i innego narzędzia do kopania ziemi, umyślił uderzyć na Jasnogórę.

„Powziąwszy o nim wiadomość Pan Puławski, komendant fortecy, wyprawił kilka chorągwi piechoty i jazdy, aby go do fortecy nie przypuścili. Jakoż chociaż liczne szwadrony moskiewskie pokazały się mocno ucierające aż do godziny drugiéj z południa, spędzony został nieprzyjaciel z pola, aż o milę do Rędzin zagnany. W téj potrzebie jeden Bośniak żywo w niewolą wzięty, dwóch oficerów plejzerowanych, z których jeden będąc kilka razy dzidą pchnięty, już ledwie nie zabity, za wezwaniem pomocy Matki Boskiéj, z rąk nieprzyjaciół wyśliznął się do swoich; Moskwy zaś około sto zginęło, oprócz rannych; a że nachylony ku wieczorowi dzień wcześnie noc przyśpieszyła, z obydwóch stron ustało strzelanie.

„Dnia 1. Stycznia, jak tylko rozedniało, po wysłuchaniu nabożeństwa, sam JW. Marszałek (P.) z podjazdem wyszedł przeciw nieprzyjacielowi i o milę spotkawszy się z nim, pierwsze straże zgromił, a inne chciał na piechotę i armaty ulokowane przy kościółku Ś. Jakóba naprowadzić; ale że nieprzyjaciel rozdzielił się na dwie partye, i jedne ponad górami, około wsi Kiedrzyna, drugą pod miastem Częstochową ku nowicyatowi zmierzał; nasi z kościółka zrejterowali się do fortecy, i z niéj naokoło bili z armat, tak, iż około 200 nieprzyjaciela zginęło, prócz wielu plejzerowanych, i znacznéj liczby ubitych koni. Półkownik Drewicz obawiając się nieszczęścia, daleko mijał fortecę. Ulokowawszy się na górze przy Kiedrzynie, na wzgardę niby fortecy wypuścił pięć granatów, z których trzy się na miejscu rozpękły, a dwa niedoleciawszy, w staw wpadły. To gdy się dzieje, piechota moskiewska ogarnęła konwent nowicyacki Ś. Barbary, i choć z wielką stratą swoich, tamże ulokowała się. A wtém JW. Marszałek wysłał swoją piechotę do zapalenia miasteczka Częstochowy, pod fortecą będącego, aby nie było nieprzyjacielowi sposobu bliższego podsunięcia się pod fortecę. Jakoż to miasteczko o godzinie 1széj z południa zapalone, do połowy wygorzało.

„Gdy tedy już się należycie ulokował w konwencie nowicyackim pułkownik Drewicz, począł o godzinie 2giéj attakować fortecę; a chociaż 180 bomb wyrzucił, żadnéj jednak nikomu nie uczyniło szkody, owszem sam silnie z armat naszych rażony. Wtém noc zaszła.

„Dnia 2go Stycznia 1771. postrzeżono przy nowicyacie wysypaną bateryą o dziewięciu koszach, którą nieprzyjaciel z taką pilnością i pośpiechem wysypował, że tego wyrazić nie można. Gdzie ustawiwszy armaty, moździerze, zacząwszy o godzinie 7. z rana, tak ustawicznie strzelał, iż kula kulę, bomba bombę goniła; ale bez żadnéj naszéj szkody, oprócz, że jedna wpadłszy na dach konwencki, trochę go nadrujnowała, a dwie na ziemi się rozpadły. Ale forteczna armata lepiéj sięgała okopów i w nich taką szkodę czyniła, że trupów wożono i onych pod figurą chowano, inne zaś w rzece Warcie topiono. Wtém gdy się zmroczyło, kapela na różnych instrumentach, ku czci i chwale Matki Boskiéj, nabożne wygrywała pieśni po bastyonach.

(Dokończenie nastąpi.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: *J. Łukaszewicz.*)